

Opowieści
z Czerewkowego Belwederu

Autorzy

członkowie Klubu Wolontariuszy „W jedną stronę”
w Gimnazjum nr 1 im. Niepodległości Polski
w Bielsku Podlaskim:

Beata Boroń
Marta Leoniuk
Katarzyna Linka
Ewa Łukaszuk
Elżbieta Parciak
Paweł Sacharzewski
Przemysław Szulc
Magdalena Waszkowiak
Ewa Zduniuk
Katarzyna Zinkowska

oraz założycielki i opiekunki Klubu:

Agnieszka Piast
Elżbieta Uziałło

Opowieści z Czerewkowego Belwederu

Teremiszczańska Oficyna Wydawnicza
Teremiski 2006

Realizacja przedsięwzięcia

Klub Wolontariuszy „W jedną stronę” w Gimnazjum nr 1

im. Niepodległości Polski w Bielsku Podlaskim

Uniwersytet Powszechny im. Jana Józefa Lipskiego w Teremiskach

Opieka merytoryczna i redakcja

Agnieszka Piast, Elżbieta Uziałło – nauczycielki Gimnazjum nr 1 w Bielsku Podlaskim

Redakcja techniczna i skład

Jan Kaliszewski – wykładowca Uniwersytetu Powszechnego im. J. J. Lipskiego

członkowie Klubu Wolontariuszy „W jedną stronę”

Fotografie

Dorota Borodaj – wykładowca Uniwersytetu Powszechnego im. J. J. Lipskiego

Leszek Marczuk – nauczyciel Gimnazjum nr 1 w Bielsku Podlaskim

członkowie Klubu Wolontariuszy „W jedną stronę”

studenci Uniwersytetu Powszechnego im. J. J. Lipskiego

archiwum Ośrodka „Pogranicze – Sztuk, Kultur, Narodów” w Sejnach

zbiory prywatne bohaterów książki

strona internetowa Urzędu Miejskiego w Knyszynie

Na okładce – zdjęcie Pani Bronisławy Danilczuk

Projekt okładki

Rafał Łysionek – student Uniwersytetu Powszechnego im. J. J. Lipskiego

Jan Kaliszewski

Teremiszczańska Oficyna Wydawnicza

uniwersytet.powszechny@teremiski.edu.pl

Nakład: 35 egzemplarzy

Książka jest wspólnym dziełem młodzieży z Gimnazjum nr 1 im. Niepodległości Polski w Bielsku Podlaskim zrzeszonej w Klubie Wolontariuszy „W jedną stronę” oraz studentów Uniwersytetu Powszechnego im. Jana Józefa Lipskiego w Tere-miskach.

Bohaterami książki są mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej w Czerewkach, z którymi wolontariusze są bardzo życzliwi. Systematycznie odwiedzają ich już czwarty rok, piszą listy, uczestniczą w ważnych uroczystościach. Mają wśród nich „przyszywanych” dziadków i babcię. Wizyty młodzieży w Czerewkowym Belwederze (tak ten dom nazywają czasami jego mieszkańcy) są zawsze wzruszające i serdeczne. Starsi Państwo czekają na przybycie swoich „wnuków”, a później żegnają ich stojąc w oknach. Nieraz mają łzy w oczach.

To im dedykowana jest ta książka.



Pani Jadwiga Milewska

Ulica mojego dzieciństwa

Mieszkaliśmy na Starodwornej, w małym murowanym domku, który stoi tam do dziś. Mieliśmy tylko dwa pokoje i kuchenkę, była też letnia kuchnia. Na świat przyszedłem 1 maja 1920 r. w Knyszynie. Najbliżsi sąsiedzi, jakich pamiętam, to Komorowscy i Puchalscy. Przy domu był mały ogródek, rosły w nim georginie i róże. Był też sad, a w nim jabłonie, grusze, śliwy, orzechy. Przed domem stała ławka, często na niej siadaliśmy i śpiewaliśmy wieczorami. Dom stał blisko rzeki, przy lesie. W wiosce było mnóstwo studni, ale my nie mieliśmy własnej, chodziliśmy do Masłowskich, do kuzynów moich. Tam czerpaliśmy wodę, była bardzo dobra, bo miękka.

Gdy miałam dwa lata, zmarła mama. A ja zostałam sama z siostrą Reginą i ojcem, który ponownie ożenił się. Z drugą żoną miał siedmioro dzieci: Genowefa, Irena, Edward, Helena, Włodek, Rysiek i Leszek. Żyje już tylko dwóch braci przyrodnych i jedna siostra. Ojciec mój pracował u rzeźnika i pieniędzy w domu nie brakowało. Właścicielem rzeźni był Gruczała. Razem z tatą i rodzeństwem chodziłam na ryby i raki. Ojciec później to sprzedawał dla Żydów i zawsze jakieś tam pieniądze były. Co czwartek ludzie zjeżdżali się na targowisko na rynku w Knyszynie.

Bardzo dobrze pamiętam święta Bożego Narodzenia. Uroczyście było, siano się pod obrus kładło, ubieraliśmy choinkę i potraw było dużo. Kutia z ryżu i kutia z pęczaku, łazanki, ryba parzona i smażona, kapusta gotowana i zupa burakowa. Było ich całe dwanaście, ale już wszystkich nie pamiętam.

Na Wielkanoc chodziliśmy do kościoła święcić jajka. W bogatszych domach to ludzie sami wystawiali stół i ksiądz przychodził i święcił po-

trawy. Srogo pościliśmy. Jajka malowaliśmy w cebulniaku. Taczaliśmy i biliśmy je.

Pamiętam, była u nas taka pani Lodzia – starsza panna. My ją zawsze „mama” nazywaliśmy i z nią wszędzie chodziliśmy.

Gdy miałam siedem lat, stała się wielka tragedia. Pewnego dnia moja pięcioletnia siostra zachorowała na odrę, była wtedy u cioci. Ciocia robiła ciasto na placki ziemniaczane. Później poszła na pole napoić krowy. Siostra została sama. Postanowiła usmażyć te placki. Gdy położyła smalec na mocno rozgrzaną patelnię, ogień buchnął. Miała poparzoną całą górną część ciała. Pożyła jeszcze siedem dni i zmarła. Długo po jej śmierci cierpieliśmy, ale musieliśmy żyć dalej.

Raz poszliśmy po szczaw. Już wtedy miałam dwanaście lat. A u nas, jak się szło od dworca, to był cmentarz prawosławny, a tam taka kapliczka. Chłopcy poszli patrzeć na nagrobki, a ja weszłam do tej kapliczki i się modliłam, a oni mnie zamknęli. Krzyczałam, żeby wypuścili, ale okazało się, że drzwi były otwarte. Całą ulicę biegałam, bo myślałam, że gonią mnie duchy, a zobaczyłam, że to tylko kwiatek, który miałam na plecach.

Do szkoły chodziłam w Knyszynie. Trzy klasy skończyłam. Gdy poszłam pierwszy raz do szkoły, miałam siedem lat. Ławki były podwójne. Polskiego uczyli, rachunków, historii, fizyki. Uczył nas Chodowański. W klasie chłopcy przezywali mnie baran, bo włosy kręcone miałam. Uczyliśmy się przez cały tydzień, od poniedziałku aż do niedzieli. W niedzielę były zazwyczaj przedstawienia.

Pamiętam, jak rodzice kupili mi taką niebieską, ładną sukienkę z koronką, sandały i skarpetki. Na głowie miałam taki biały kapelusik. Poszliśmy do kościoła. Jak wracaliśmy, to deszcz zaczął mocno padać. Ja ojcu spod płaszcza uciekłam i skakałam po wodzie w nowym ubraniu. Wszystko trzeba było wyrzucić – błoto zaschło i nie dało się odebrać.



Babcia Jadwiga z Ewą Łukaszuk i Ewą Zduniuk



Ulica w Knyszynie

Na początku wojny wyszłam za mąż. Ślub był skromny. Po mężu otrzymałam nazwisko Milewska, zamieszkaliśmy w Białymstoku. W roku 1941 urodziłam syna, na imię miał Jerzy, a później w 1945 r. urodziły się bliźniaki: Henryk i Wanda. Nie miałam łatwego życia, męża często nie było w domu, gdy wracał, robił awantury. Przez kilka miesięcy nie pojawił się w domu. Zostałam z trójką dzieci. Ludzie mówili, że został zamordowany przez Niemców, ale ja wiedziałam, że to nieprawda. Po kilku dniach doszła do mnie wiadomość, że on ukrywa się w lesie. Na krótko się z nim spotkałam. Zginął w 1945 r., ponieważ ujawnił się. Nie wiem nawet, gdzie jest grób męża. Sama zostałam z trójką dzieci, sama musiałam wszystko robić, a zdrowia już wtedy to ja nie miałam.

Teraz żyje już tylko córka. Jeden z synów zmarł nagle w wieku 57 lat, drugi w wieku 53. Bardzo cierpiałam. W 1998 r. zamieszkałam w Czerwinkach, bo już sobie z niczym nie radziłam.

Marzę, żeby jeszcze raz zobaczyć murowany domek na Starodwornej, ulicy mojego dzieciństwa.

Jadwiga Milewska



Uniwersytet Powszechny im. Jana Józefa Lipskiego w Teremiskach



Pani Bronisława Danilczuk

Czasami nawet na chleb nie starczało...

Zawsze, gdy święta przychodzą, przypomina mi się całe moje życie, smutne życie. Ja nigdy nie miałam prawdziwych świąt. Nie pamiętam Bożego Narodzenia z prezentami albo chociaż z kilkoma potrawami tradycyjnymi. Miałam ubogie święta. Pamiętam, jak raz dostałam kilka malowanych jajek na Wielkanoc od sąsiadki mojej mamy. Byłam szczęśliwa, bo od rodziców nigdy nie dostawałam żadnych paczek. Nie byłam na nich zła, bo wiedziałam, że ledwo na chleb wystarczy. Miałam bardzo ciężkie życie i dlatego nie mam miłych wspomnień.

Urodziłam się 16 sierpnia 1920 r. w Strabli. Wychowywałam się w biednej rodzinie. Mieszkałam z ojcem, matką i rodzeństwem. Rodzeństwa miałam ośmioro. Oprócz mnie byli jeszcze: Gienia, Andzia, Marysia, Olesia, Zosia, Stefcia, Bolcia i jeden chłopczyk był – Adamek. Jak pięć lat miał, umarł, mnie jeszcze na świecie nie było. Moi rodzice to: Paweł i Tekla Kondraciuk. Pracowali w majątku na wsi. Ja z rodzeństwem też chodziłam do roboty. Do majątku chodziliśmy, do Strabli, do hrabiego Starzyńskiego. Ale ja nie mieszkałam w Strabli, tylko w Doktorcach, to przez rzekę do Strabli. A tam szkoła była, cztery klasy. W czternaście lat szkołę skończyłam. A niechaj teraz tak poczyta kto z ósmej klasy, jak ja z czwartej czytałam. U gospodarza było mieszkanie wynajęte, jeden pokój na szkołę. Nauczycielka mnie jedna uczyła od pierwszej aż do ostatniej klasy. Mój ojciec był biedny, ale ja bardzo lubiłam się uczyć. Pamiętam, jak nauczycielki biły linijkami po rękach, jak ktoś był niegrzeczny. Ja byłam prymuską i nie miałam żadnych kar. Nie wszyscy jednak doceniali szkołę. Niektórzy z uczniów nie słuchali się nauczycielek. Do tej pory pamiętam, jak mój kolega był niegrzeczny. Pani wygoniła go

z klasy. On tak się trzymał jej spódnicy, że wziął i porwał. Była zła jak osa. Wszyscy śmiali się cicho. Ja lubiłam się śmiać. Pamiętam, jak z koleżankami zrobiłyśmy żarcik dla chłopaka. Najpierw zamknęłyśmy go w klasie. Potem, jak go wypuściłyśmy, to wysypałam na niego popiół z chusteczki. Był przestraszony, bo myślał, że to jakieś czary. Nieźle się uśmiałyśmy. Potem ganiał mnie po wiosce, szukał wszędzie, a koleżanki mówiły, że pod drzwiami moimi nawet stał. Musiałam uciekać z domu przez okno, bo on powiedział, że mnie zabije. Ale jakoś uciekłam przed nim, a mu wyszło z głowy i zapomniał. Kiedyś były inne czasy i nie wiadomo, może i by mnie zabił, żeby złapał.

Wiele rzeczy różniło się od dzisiejszych czasów. Do szkoły chodziło się obowiązkowo. Jedna moja koleżanka nie przychodziła do szkoły. Nauczycielka wysłała jakiegoś ucznia, żeby ją przyprowadził. Jej matka mu otworzyła i powiedziała, że jej córka już panna i nie puści do szkoły. Niedługo potem wyszła za mąż.

Ja poznałam swego męża przez sąsiadkę. Przyszła do mnie, pokazała chłopca, nazywał się Władek i powiedziała, że to wdowiec. Kilka razy rozmawiałam z nim i potem wyszłam za niego. Sąsiedzi ostrzegali mnie, że już trzy żony pochował. Ja nie brałam do serca takich głupot. Mąż był dziesięć lat starszy ode mnie. Był rolnikiem. Nasz ślub? Nie było żadnych dojazdów, a darmo, kto tam będzie woził? Poszli do kościoła, ślub wzięli, organista pograł i zaśpiewał. Po Wielkanocy ślub był – 10 kwietnia 1940 r. Byłam ubrana zwyczajnie, w sukience i chustce. Mąż był ubrany w czarnym garniturze. Ksiądz, który udzielał nam ślubu, niedawno umarł, Jan Dudadziewisz nazywał się. Niedużo ludzi było na naszym ślubie, sama rodzina.

Dobrze pamiętam sąsiadów: Stanisław Chrabol z żoną Felicją. Mieli



Strabla

synów: Władka, Józika, Heńka i Wacka. A z drugiej strony był Głowacki Władek ze swoją siostrą Marysią.

W 1942 i 1944 r. urodziłam dzieci. Miałam dwóch synów. W Katowicach mieszka ten syn, co w 1944 r. urodzony. Za daleko, żeby odwiedzać, ale listy pisze. Starszy syn gdzieś wyjechał. Nie powiedział nawet gdzie. Jak umrę, to nie przyjedzie na mój pogrzeb, bo przecież nie wie, że tu jestem.

Pierwszego męża zabili Niemcy. Drugi ślub był w październiku. Miałam jeszcze trzech pasierbów i dwie pasierbice: Zygmunta, Tadzia, Piotera, Jankę i Heńkę.

Teraz to mało dzieci mają. Kiedyś po dziewiętnaścioro mieli. Ja przeżyłam te ciężkie czasy. Teraz jestem tutaj i jest mi dobrze. Jestem sama jak sierotka, ale mam tu dobrą opiekę. Bardzo się cieszę, że mam się gdzie podziać. Teraz to jest mój dom.

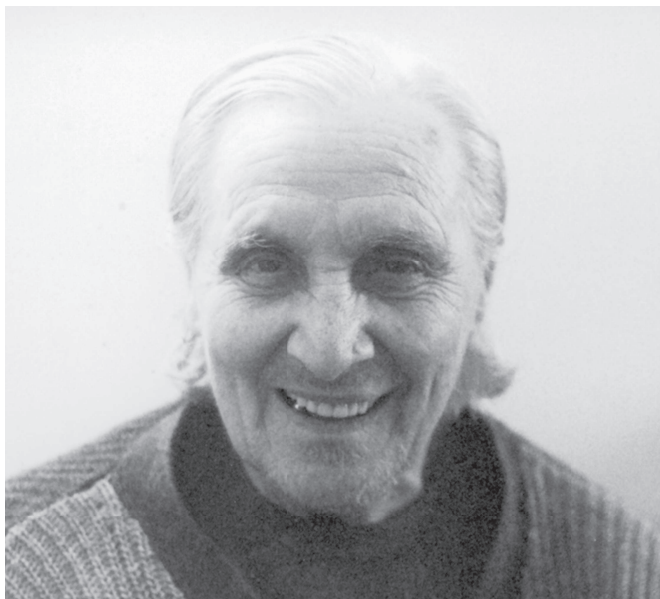
Bronisława Danilczuk



Babcia Bronisława z Elżbietą Uziałło i Beatą Boroń



Pani Bronisława w młodości



Pani Olga Kułaczeko

Jak inżynier z Moskwy za żonę mnie wziął

Moja rodzina przybyła do Polski, uciekając przed I wojną światową. Przybyła tu zza morza, z Helsinek w 1914 r. Mamusia była Finką. Anna miała na imię, tatuś nazywał się Leon Sawicki. Ślub wzięli w 1910 r. Zamieszkali w Zarzeczanach koło Gródka. Rodzina moja nie była liczna. Tylko dwoje dzieci u ojca, ja i mój brat. Władysław było mu na imię. Wspaniały chłopak z niego był.

Urodziłam się 21 marca 1921 r. Chodziłam do Szkoły Powszechnej w Gródku przez siedem lat. Część przeuczyłam się po polsku, a część po rosyjsku. Grałam na skrzypcach, lubiłam jeździć konno. Wszędzie na koniu jeździłam. Zabawy mało było, bo dla mamusi w gospodarstwie trzeba było pomagać. Obchodziliśmy prawosławne i katolickie święta. Mamusia mówiła, że jedno i drugie trzeba obchodzić. Z sąsiadów to ja teraz tylko Mikołaja Sawickiego pamiętam, dwa domy obok mieszkał. Niby jakaś moja daleka rodzina. Jak byłam mała, to mieliśmy trzech parobków. Ale oni młodzi byli, poženili się i z czasem odeszli.

Za mojego życia różne szaty były: Biała Polska, Sowiety i Niemcy na naszych ziemiach byli.

Mój brat służył przez rok w wojsku. Gdy wybuchła wojna, on przyszedł do domu i powiedział: „Na front idę”. Wziął rower i z kolegą z Grzybowa (to sąsiednia wieś jest) pojechał na wojnę do Moskwy. Walczył na froncie. Gdy zaczęto tworzyć oddziały polskie przy Armii Czerwonej, to on mundur i wszystko co trzeba otrzymał i do Polski wrócił. W Warszawie do końca wojny przebywał. Pracował jako kierowca w Gródku, a później w Elku w PGR-ach.

Pamiętam bardzo dobrze dzień, w którym poznałam swego przyszłego

go męża. W 1941 r. do wsi przyjechał inżynier, ale nie wojskowy. Aleksy Kułaczenco się nazywał, miał plany robić, mierzyć. Cztery walizy dokumentów ze sobą przywiózł. Nie miał się gdzie zatrzymać. Na mój dom padło. Ja zastanawiałam się, czy może się u nas zatrzymać, ale tatuś powiedział: „Jak to, gość z daleka przyjechał i nie ma się gdzie zatrzymać? Niech u nas mieszka”. No i zamieszkał. Za dwa dni przyjechało dwóch mężczyzn, którzy mieli mu pomagać. Na początku pracowała u niego kobieta, ona do dziś żyje, później zrezygnowała i ja jej miejsce zajęłam. Poznaliśmy się i jak to młodzi, zakochaliśmy się, a raczej on we mnie. Nie byłam pewna, czy mogę za niego wyjść za mąż, to się rodziców poradziłam. Mama mówiła, że batiuszka mnie na zakonnicę niech weźmie, ale nie chce, żebym wyszła za mąż za Aleksego. Tatuś powiedział, żebym robiła jak chciała. To on dał na zapowiedzi.

Poszliśmy do cerkwi, ślub wzięliśmy. Batiuszka Wahrow go nam dał. Rosjaninem był, taki wojskowy batiuszka. Bo nasi puciekali, jak wojna przyszła. To jeszcze stara drewniana cerkiew w Gródku była. Tak normalnie byłam ubrana. Biała bluzka i czarna spódnica do ziemi. Bóg wiedział, że coś będzie nie tak. U nas batiuszka świece do ręki daje na ślubie. U mnie dobrze się paliła, a u niego tylko co batiuszka zapalił i po jakichś pięciu minutach zgasła. Odpalił od mojej, a ta świeca dalej swoje i znowu zgasła. Ludzie to mówili, że coś nie tak będzie. A cała ich cerkiew była. Bo jak batiuszka zapowiedział, że inżynier z Moskwy ze mną będzie się żenić, to ludzi przyszli zobaczyć cóż to za chłop. To on zaczerwienił się jak burak i tak do końca ślubu stał.

Pewnej nocy, koło czwartej nad ranem było to. Szmer samolotów usłyszeliśmy nad wioską. Ludzie wychodzili na ulicę popatrzeć i krzyczeli, że to manewry, a Aleksy krzyczał, że to wojna. Zaczęły bomby spadać, krzyk i huk był. Niedługo po tym przyszli Niemcy i rozstrzelali męża.



Babcia Olga z Przemkiem Szulcem

„Bo ty inżynier z Rosji, to zginąć musisz”. Zabrali go i rozstrzelali w Białymstoku. Nawet nie wiem, gdzie go pochowali. Jego tatuś z Rosji do mnie listy słał. Nazywał mnie swoją córeczką, nawet jak Aleksy już nie żył. Pół roku po śmierci jego dziecko się urodziło. Władysław je ochrzciłam. Półtora roku pożył i zmarł. Zachorował na jakąś dziecięcą chorobę, a wtedy nie było leków tak jak teraz. Niemcy byli, to pozabierali wszystkie. Po tym wszystkim przez sześć lat nosiłam żałobę: po ojcu, matce, bracie, bratowej, mężu, dziecku...

Po wojnie pracowałam w Gródku w szwalni. Dobrze się tam zarabiał. Nasz szef mówił: „Pracujcie kobity, bo co ja bez was zrobię, a jak do emerytury dojdzie, to chleb z obu stron masłem będziecie smarowały”. Najgorzej było, jak trzeba było kopać kartofle i chodzić do pracy. Dwadzieścia lat przepracowałam i poszłam na emeryturę.

Pewnego razu, gdy z pracy wracałam, przed domem urzędniczka stała. Powiedziała, że zabierają mi ziemię i z 11 ha zostało mi tylko 0,3 ha. Teraz tam robi jeden mężczyzna z Gródka i jeden z Zarzeczan – Zajączkowski i Mikołajczuk.

Dom stał pusty, byłam sama, dzieci szyby zaczęły wybijać. To kazali mi się stamtąd wynieść. U gospodarza zamieszkałam, Aleksandra Sawickiego. Dobrze mi tam było, ale za mieszkanie płacić kazał. Później mieszkałam u Moroszkowskiego, bo u niego pusty dom był.

Kiedy poszłam na swoje, niedługo się pocieszyłam. Któregoś dnia, gdy pracowałam na gospodarstwie, straciłam przytomność. Znalazł mnie mój dobry znajomy, katolik, który pomagał mi w obrządku. Położył mnie na wersalce i karetkę wezwał. Wylew mnie chwycił, prawą rękę i nogę mi sparaliżowało. Teraz ręką daję radę już trochę ruszać. Pół roku byłam w szpitalu, potem do Czerewek trafiłam. I idzie mi już 85 rok.

Olga Kułaczenko



Dom Pomocy Społecznej w Czerewkach



Pani Stanisława Zymka

Piękne życie miałam...

Mimo ciężkich lat, w których żyłam, lekkie i radosne było moje dzieciństwo. Na późniejsze życie też nie mogę narzekać.

Urodziłam się 15 kwietnia 1922 r. w Supraślu. Moja mamusia, Teofila Wesołowska, pochodziła z Hermanówki w parafii juchnowieckiej. Mój tato, Józef Kozłowski, był wspaniałym krawcem. Ja byłam ich średnim dzieckiem. Mam starszą siostrę, Jadwigę Kozłowską, po mężu Frankowska. I jeszcze młodszy brat, Ryszard Kozłowski, w 1939 r. urodzony.

Do 1931 r. mieszkaliśmy u rodziny mamy, w Hermanówce. Mama miała dużą rodzinę, tu na Białostocczyźnie, a jedna z sióstr mieszkała w Gdyni. I to właśnie do niej, do Gdyni, wyjechaliśmy za lepszym życiem. Tam było więcej pracy, tato miał zajęcie. Dla policji szył mundury. Od spodni po pięć złotych brał, a to na tamte czasy dużo było. Mieszkaliśmy w kamienicy, razem z dziewięcioma innymi lokatorami. Kamienica znajdowała się przy ulicy Warszawskiej 73. Sąsiedzi życzliwi byli. Pamiętam kilku: Hojnaccy z dziećmi, rzeźnik Borkowski, Kopczyński miał sklep odzieżowy i szewc Jabłoński. Ja do szkoły chodziłam na ulicę Witołkińską. Kościoły w Gdyni tylko trzy były. My należeliśmy do parafii i kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, przy Świętojańskiej. A jeszcze był jeden pod wezwaniem Serca Jezusowego. Trzeciego niestety nie pamiętam. Gdy podrosłam, młodą panią byłam, należałam do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Tam różne przedstawienia graliśmy: Świętą Genowefę, Świętą Teresę, jasełka. Bardzo ładnie śpiewałam, lubiłam tańczyć. Zawsze modnie ubrana byłam. Mój tata był krawcem, a ciocia nie miała dzieci, ja byłam jej pupilką. Sukienki piękne mi kupowała, wstążki aksamitne na włosach nosiłam. Bardzo piękne, kręco-

ne włosy miałam. Wychuchana, wydmuchana byłam. Teraz to się czasami po rękach biję, że ja powinnam umieć coś robić, a to nie. Siostra moja czytać lubiła, nauczycielką chciała być. A ja to zawsze śpiewać, tańczyć. Przy sztandarze stałam w porcie w Gdyni, jak „Batory” przyplynał.

Gdy skończyłam 18 lat i już taka poważniejsza byłam, to poznałam pewnego chłopaka. Nazywał się Paulin Ciesielski. Był dwa lata starszy ode mnie. Bardzo przystojny, uprzejmy. Pływał na okręcie „Błyskawica”, który teraz stoi w porcie w Gdyni jako muzeum. Ja z Paulinem spotykałam się, na spacery chodziliśmy. Przy ostatnim naszym spotkaniu odprowadził mnie do domu, a ja dałam mu swoje zdjęcie. Obiecał mi, że za trzy dni do mnie przyjdzie. Zapytał, czy może mnie pocałować. A ja, jak to młode serce, zgodziłam się. Aż tu nagle, znenacka, z głębi podwórza wybiegł mój sąsiad, Józio Chojnicki i krzyczy: „To ty się pytasz, czy możesz dziewczynę całować?”. Paulin się speszył i powiedział, że musi już iść. Umówiliśmy się na spacer. Taka zakochana byłam. Czułam, że to prawdziwa miłość. No, ale niestety, zaraz potem wybuchła wojna. A ja, biedna, no cóż miałam robić? Paulin odpłynął ze swoją jednostką i nigdy więcej już go nie zobaczyłam.

Jak wojna wybuchła, to straciliśmy wszystko z dnia na dzień. Ciężko było, braciszek Rysio miał dopiero trzy miesiące. Postanowiliśmy wrócić do rodzinnych stron. To co mieliśmy, to zabraliśmy. Na Białostoczczyźnie było jeszcze spokojnie, nie tak jak na północy Polski. Zamieszkaliśmy w Hermanówce, z rodziną mamy. Tato z prośbą o mieszkanie do dziadka Macieja, swego ojca, się skierował. Zamieszkaliśmy u dziadka Macieja w domu, w kolonii wsi Lewickie. Dziadek 5 ha ziemi od księżnej łowickiej Izabeli dostał i właśnie ten dom zbudował. Był masztalerzem u księżnej i przy młóceniu dwa palce maszyna mu zmiażdżyła. Wtedy księżna odszkodowanie mu dała.

Okolica była piękna, nad rzeką. Zaraz koło rzeki las, dużo ptactwa. Brzozy przy domu dziadek posadził. Dom był taki zwyczajny, drewniany, dwa pokoje, ale nie narzekaliśmy.

Po kilku miesiącach przeprowadziliśmy się do Dojlid, gdzie moja mamusia znalazła pracę na plebanii. Była gospodynią u księdza. Nie było bogato, ale nie można narzekać, nie. Chlebek był, jaka tam wędlina, mama kawałek placka upiekła i żyliśmy. Na święta Bożego Narodzenia, gdy tato w Wigilię choinkę ubierał, to z rodzeństwem podpatrywaliśmy, gdzie cukierki wiesza. I jak nikt nie patrzył, to wyjmowaliśmy słodycz z papierka i żeby wyglądało, że cukierek nadal wisi, wkładaliśmy kawałek chleba albo trochę kartofli i zawijaliśmy. A oprócz słodyczy to ozdoby ze słomek, z papieru się wycinało. Orzechy, jabłka, żeby w domu dostatek był i szczęście. Przy kolacji wigilijnej nie zawsze dwanaście potraw było.

Ja mamie na plebanii pomagałam często. Dziewiętnaście lat miałam, dorosła już byłam. Pamiętam taką sukienkę, białą, w czerwone kwiatki rzucane. Z materiału, plisowana, za kolano. A mój przyszły mąż przyszedł na próbę chóru. I z kościelnego synem zasiadł w podwórku, na ławce koło studni. A ja w tej sukieneczce wyszłam po wodę. Na kolanie miałam taki wzorek, myszka tak zwana, a ta sukienka chyba mi się zatoczyła. I Henryk, mój przyszły mąż mówi: „A co to za myszka? Ciekawe, co to za myszka?”. I zaczęli się śmiać, jak to chłopcy. Ja zabrałam się i poszłam. Na drugi dzień syn kościelnego mówi do mnie, że Henryk od Rajów chce mnie poznać. A ja rodzinę Rajów znałam. Trzech chłopców tam było: Henryk, Jan i Józef. Zgodziłam się.

Wysoki, przystojny był. Rok ze sobą spotykaliśmy się i wzięliśmy ślub. Pamiętam, był w maju. Pięknie było. Braliśmy ślub w kościele w Dojlidach. Ładną miałam sukienkę, welonik taki z kapelusikiem. I tego

nie zapomnę do końca życia. Jak już po ślubie, po ceremonii, z Henrykiem wstawaliśmy z klęczników, to on do mnie szepnął: „Pamiętaj Stasiu. Ty będziesz na zawsze moja. Zawsze będę cię kochał”. Do dziś mi się lezka w oku kręci, jak sobie przypominę. Wesele też było piękne. Zaraz po ślubie, na początku 1943 r., córeczka nam się urodziła. Halina daliśmy jej na imię. No i niedługo po tym mąż odszedł ode mnie. Zamieszkaliśmy oddzielnie. Ja z córką z powrotem na plebanie wróciłam.

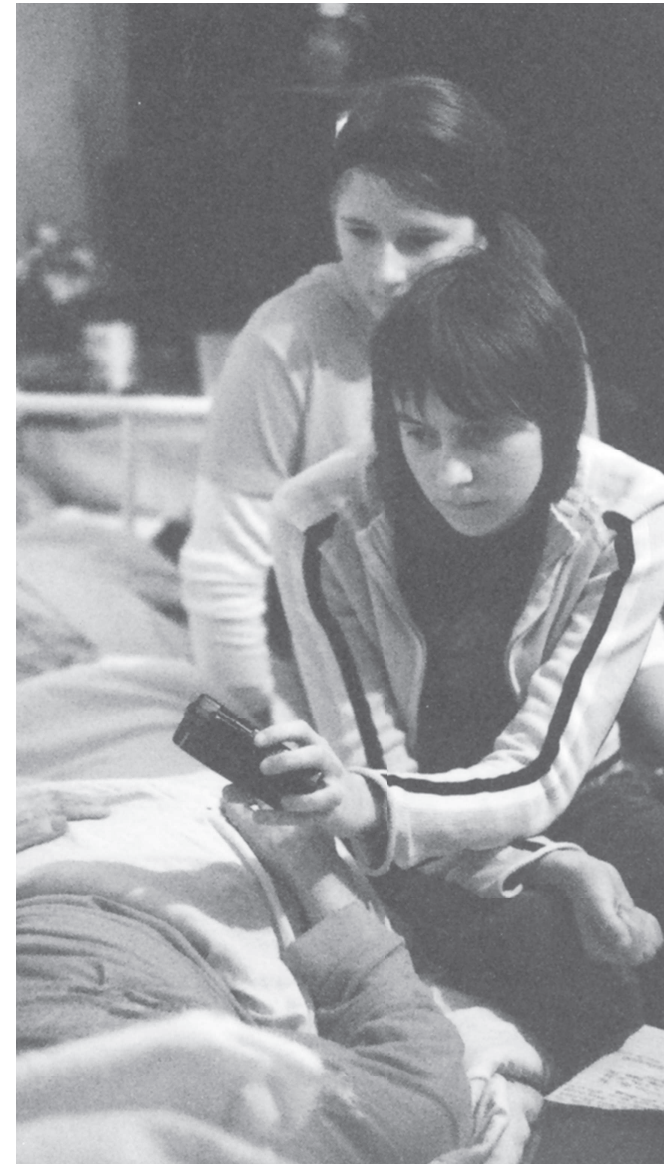
W 1945 r. Niemcy ojca zamordowali. Taty zabrakło, ciężko się żyło. Często po pobliskich wsiach chodziłam z kawałkiem nici, szylam u ludzi, sprzątałam, dzieci pilnowałam za trochę jedzenia. To kawałek słoninki kto dał, kiełbaski, garstkę mąki i kaszy. Ciężko było, ale przeżyliśmy.

W wieku 55 lat ponownie wyszłam za mąż. Mój mąż Stanisław był wykształconym człowiekiem. Cóрка Halina raz mówi do mnie: „Ale mamo, ty mu powiedz, że ty nie masz wykształcenia, żeby on za złe nie miał tobie”. Ale Stasio mnie kochał, na wykształcenie nie patrzył. Mężczyzna anioł był. Znowu miałam taką pełną rodzinę. Ale niestety, po roku małżeństwa Bóg mi go odebrał. W 1978 r. Stanisław zmarł.

Dopiero kilka lat temu dowiedziałam się, że Paulin Ciesielski żyje, mieszka za granicą, ożenił się. Moja cóрка Halina ma 63 lata, jest mężatką, nie ma dzieci. Ja od półtora roku mieszkam w Domu Pomocy Społecznej w Czerewkach. Niestety, nie chodzę.

A moje życie podsumowałabym tak – ludzie żyli kiedyś biednie, ale serdecznie i miło. Choć kilka razy było ciężko, nie ma na co narzekać.

Stanisława Zymka



Marta Leoniuk i Kasia Linka rozmawiają z Babcią Stanisławą



Pani Eugenia Jabłowska

Ciernista droga

Zyć ciężkie było kiedyś. Prawdziwego domu to ja nigdy nie miałam. W rodzinie byłam najmłodsza. Oprócz mnie były trzy siostry: Maria, Stefcia i Anna i dwóch braci: Władek i Stefan. Byłam najmłodsza i najwięcej wycierpiałam. Urodziłam się 12 marca 1927 r. w Strabli, w województwie podlaskim. Gdy miałam dwa lata, wyjechałam z rodziną do Gregorowiec, bo brat Stefan tam się ożenił. Po dwóch latach ojciec zbudował mały, drewniany domek w Dubnie. Mieliśmy tam tylko pokój i kuchnię. Spaliśmy, gdzie było miejsce, zimą na piecu, a latem u sąsiada w stodole, czasem nawet na podłodze. Już w wieku sześciu lat pracowałam tak jak dorośli, aby pomóc rodzinie w utrzymaniu domu. Niańczyłam dzieci, pasłam krowy. Kiedy przychodziły przymrozki, a ja prowadziłam krowy, idąc boso, to jak najczęściej wchodziłam w ich odchody, aby ogrzać trochę nogi. Do szkoły to ja nie chodziłam, bo nie było ani warunków, ani czasu. Rodzicom nie było w głowie kształcenie dzieci.

W 1940 r. spłonął nam dom, bo dzieci w sąsiedniej stodole rozпалиły ognisko, żeby upiec ziemniaki. Zapaliła się cała stodoła, później ogień przeszedł na nasz dom. Zostaliśmy bez dachu nad głową. Tego samego roku ojciec dostał drewno, tak było za Sowietów. Sprzedał je, a mnie i matuli Zofii zbudował ziemlanekę i się wyprowadził. Moje rodzeństwo zdążyło się usamodzielnic, siostry wyszły za mąż, jeden brat wyjechał do Bielska Podlaskiego, tylko ja zostałam przy mamie. Oj ciężko było, ciężko. Nie miałyśmy gospodarstwa, tylko kilka kurek. W 1940/1941 r. była pamiętna mroźna zima. Podczas ogromnej śnieżycy mnie i mamę zasypało. Trzy dni byliśmy bez jedzenia i światła, nie można było się wydostać z domu. Jedyne co miałyśmy to drewno, którym mogłyśmy się

ogrzać. Dobrze pamiętam tę zimę. Wsypywałyśmy śnieg do środka, po czym nakryłyśmy zbożem, aby uzyskać trochę wody. Z matką mieszkalam w ziemlance przez sześć lat, jedząc ziemniaki i różne obierki oraz chleb od święta. Po wodę do studni wychodziłam późnym wieczorem, żeby nikt mnie nie widział, bo na wsi byłam uważana za brzydulę i dziwaczkę.

W 1941 r. zostałam ranna w Dubnie i na dwa lata utraciłam wzrok. Pięć lat później siostra Stefania wyszła za mąż i zabrała mnie z mamą do siebie, do Strabli. Tam przez pięć lat żyłam w nędzy i ubóstwie, nie jedząc nawet kilka dni. W 1945 znalazłam pracę w Strabli, w Państwowej Nieruchomości Ziemskiej (późniejszy PGR). To było okropne, dostawałam wszystkie najcięższe prace.

Pewnego dnia pojechaliśmy (ja, moja koleżanka Zinka i dwóch fornali) z pracy pod Łapcie, na jeziora, po szuwar na ściółkę. Zinka siedziała na furze, a ja jej podawałam. Gdy skończyliśmy, nikt mnie nie wciągnął na wóz, a ja sama nie dałam rady, więc zostawili mnie i pojechali z po-



Pani Eugenia w młodości



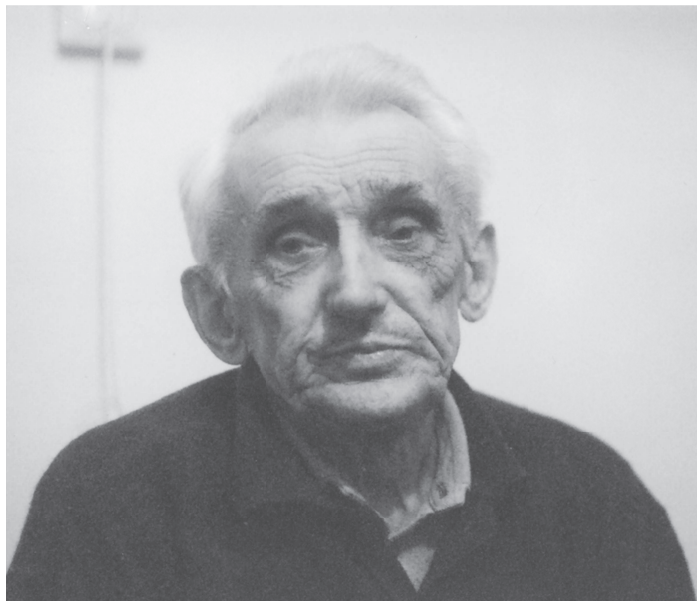
Babcia Eugenia z Ewą Łukaszuk i Ewą Zduniuk

wrotem do Strabli. Robiło się ciemno i bardzo zimno, a ja w środku pola, ubrana w żakiecik z worka i kapcie, nie mogłam na nikogo liczyć. Powoli doszłam do Wiktorzyn, wsi koło Strabli. Tam poprosiłam jakiś ludzi o kubek gorącej wody. Do Strabli doszłam bardzo późno, zmarznięta i chora.

W wieku 21 lat zamieszkałam we Wrocławiu u siostry i tam kupiłam sobie pierwsze buty. Znalazłam pracę w spółdzielni „Rymgal” (rymarsko-galanteryjnej), która produkowała uprząże dla koni, torby, portmonetki itp. Sama nauczyłam się pisać i czytać. Przez piętnaście lat pracy śpiewałam w zespole, który działał w tej spółdzielni. Śpiewaliśmy dla siebie, dla własnej przyjemności. Takie spotkania pozwalały nam zapomnieć o naszym nędznym życiu, o tym, kim jesteśmy i co robimy na co dzień.

Mężów miałam dwóch, poznałam ich w domach opieki (drugiego spotkałam w Czerewkach), dzieci nie miałam. I tak wyglądało moje życie, moja ciernista droga.

Eugenia Jabłonowska



Pan Paweł Charkiewicz

Lubię strugać...

...mam nawet dużo i materiał też się znajdzie. Tylko sił już nie starcza... Patrzę na te swoje zubry, które sam wystrugałem i przypomina mi się dawne życie...

Urodziłem się we wsi Eliaszuki koło Narewki i Lewkowa. Moje dzieciństwo było zwyczajne...

Matka zmarła, jak byłem jeszcze dzieckiem, ojciec – w 1945 roku. Miałem pięcioro rodzeństwa: trzy siostry (Lidę, Annę i Marię) i dwóch braci (Jana i Aleksandra). Jeden z nich nie wrócił z wojny, a reszta poszła na swoje, porozjeżdżała się i zostałem sam. Młode lata były ciężkie. Kiedyś było trzeba iść do kogoś zarobić, żeby dał ktoś jeść.

Po śmierci rodziców, kiedy zostałem już sam, mieszkalem u wujka Filimona, a później pobudowałem domek, ożeniłem się. Trochę pomógł teści, szwagrowie i jakoś się żyło. Żonę poznałem na zabawie w Lewkowie, spotykałem się z nią cztery tygodnie i się oświadczyłem. Wesele było skromne, około 20 osób w domu u żony. Ślub braliśmy w cerkwi w Narwi.

Później wziąłem się za gospodarstwo. Liczyło ono 23 hektary i nie miałem żadnej kozy ani krowy, sama ziemia. Niestety, zostało spalone przez Niemców.

Moje wykształcenie to szkoła podstawowa w Eliaszukach, którą zacząłem jeszcze przed wojną, w 1937 roku. Skończyłem tylko dwie klasy. Później musiałem już pracować. Byłem samoukiem.

Początkowo byłem dozorcą w szkole zawodowej w Hajnówce. Liczyła ona około 700 uczniów, ale tam po mału złapałem zawód i w latach 60. w Białowieży otworzyłem Zakład Rzeźbiarsko-Pamiątkowy. Sprzedawa-

łem w nim własnoręcznie rzeźbione figurki, broszki, naszyjniki. Należałem do Izby Rzemieślniczej w Białymstoku. Nie było kraju, w którym mój zubr by nie był. Miałem klientów z całego świata. To było moje główne źródło zarobkowania, bardzo dobre. Zakład działał 20 lat. Zamknąłem go, kiedy w domu zaczęły się konflikty...

Miałem trzy córki (Walę, Irenę i Halinę) i syna Mikołaja, których pożeniłem. Posiadałem samochód, dobrze mi się wiodło, ale później zacząłem trochę chorować i wtedy żona i córeczki wyprawiły mnie tutaj, do tego domu. Już 11 rok minął, jak tu jestem. Żony Wiery i córek nie widziałem 11 lat. Zarabiałem dobrze, wychowałem dzieci, wykształciłem, ale niestety – oprócz syna i synowej (bardzo dobrej synowej, troskliwej) nikt mnie tu nie odwiedza. I takie mnie podziękowanie spotkało. Ale nie chciałem już nawet, żeby któraś z nich przyjechała.

Wyszedłem z domu, jak stałem. Nowy samochód został w garażu i do dziś tam stoi. Syn powiedział, że jest cały zardzewiały i do niczego się nie nadaje. To tak jak z moim zdrowiem. Siedzę tu sobie, wszystko mam na miejscu i spokojnie czekam na spotkanie z Bogiem...

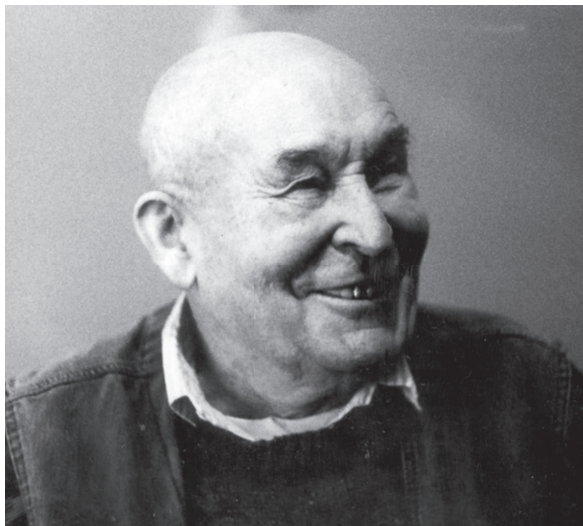
Paweł Charkiewicz



Dziadek Paweł z Kasią Zinkowską



Białowieski żubr



Pan Tadeusz Sawicki

Zwyczajne marzenia

Marzenia ludzi mają różne twarze. Jedni pragną zdrowia, inni pieniędzy. Lecz gdzieś pośród nas są tacy, którym do szczęścia nie trzeba wiele. „Zaprzęgnąć konia i gospodarzyć na własnej ziemi, do tego odrobina miłości...”. To bardzo zwykłe, a zarazem nadzwyczajne, marzenia Tadeusza Sawickiego – mieszkańca Domu Pomocy Społecznej w Czerewkach.

Urodziłem się 18 czerwca 1934 r. w Rzepnikach. Do domu opieki trafiłem dwa lata temu po wylewie, który odjął mi lewą stronę, przez co jeżdżę teraz na wózku inwalidzkim. Nie narzekam jednak, jak Bóg da, to może jeszcze na nogi stanę.

Przypominam sobie, jak było kiedyś ciężko, jak mocno los doświadczył mnie i całą moją rodzinę. W domu różnie bywało. Czasem tak się zdarzyło, że i chlebusia nie było. Na wsi, jak to na wsi. Rodzice na roli pracowali, a dzieci z nimi. Ojciec bardzo ciężką rękę miał, długo potem bolało.

Moim największym marzeniem było zaprzęgnąć konia i gospodarzyć na swej własnej ziemi. Spełniło się. Na nic więcej pozwolić sobie nie mogłem. Nauka nie szła mi zbyt dobrze. Ale miałem ogromne zamiłowanie do muzyki. Chciałem śpiewać i grać na harmonii – to dopiero instrument. Jak harmonista u nas we wsi zagrał, to każdemu chciało się tańczyć i sama noga chodziła. Ale niestety, nie było pieniędzy na instrument i na naukę. Do dziś lubię słuchać harmonii. Kiedy ukończyłem sześć lat szkoły powszechnej, ojciec zakazał dalszej nauki. Już wtedy wiedziałem, że zajmę się gospodarowaniem na kawałku własnej ziemi, który odziedziczę po ojcu. Przyszedł czas, że ojciec nie był w stanie gospodarzyć i mnie

pałeczkę przekazał. Praca w polu nie była łatwa. Codziennie wstawałem o 5 rano, a czasem to i wcześniej – na dworze ciemno było. Najpierw wypędzałem krowy na pastwisko, póki wróciłem, było już około 9-10 – wtedy brałem się za robienie śniadania. Najczęściej to kapuśniak jadłem, zupeę na mleku, no i do tego ciemny chleb – swój chleb. Jego smak pamiętam do dziś. Później znów w pole i tak do wieczora. Prace różne były, ciężkie, ale ja się na tym znałem. A wieczorem siedziało się przed domem. Takie ławeczki przed domem były. Tam w kilku sąsiadów zbieraliśmy się. Czasem śpiewaliśmy, któryś z mężczyzn dowcip opowiedział albo historię, która mu się przytrafiła. Rozchodziliśmy się najczęściej od razu spać. Rozrywek innych nie mieliśmy, a i nikt ich nie szukał. Po ciężkim dniu spałem jak zabity, a rano myślałem, co będę dziś robił. I tak w kółko, ale lubiłem robotę gospodarską. Byłem panem dla siebie.

W miłości mi się nie ułożyło. Zawsze myślałem, że jeszcze za młody na poważne związki, a jak przyszło co do czego, to wyszło, że za stary. Kochałem się w Halinie – blondynka była... I tak latałem za nią, póki szkoły nie skończyłem, a i potem po szkole też ciągle w głowie była. Stały byłem w uczuciach ponad dwadzieścia lat. Oboje mieliśmy bardzo zacięte charaktery. Jedno chciało pokazać swoje i drugie to samo. Ponadto rodzice mojej wybranki chcieli za wszelką cenę, aby ich przyszły zięć pod pantoflem córki był. Nie podobało mi się to i choć kochałem Halinę, rozstaliśmy się. Cierpiałem długo. Wkrótce ma miłość zaręczyła się z innym. Bolało jak cholera. Tym bardziej bolało, jak dowiedziałem się, że Halina również mnie kocha. Nie mogliśmy się zejść. To moja wina była, przejmowałem się, co powiedzą inni, nie chciałem, żeby za pantoflarza mnie mieli. Zostały trzy dni do wesela. Halina dała mi jeszcze jedną szansę. Czekala, aż powiem, że ją kocham. Gotowa była nie iść do ołtarza, ale ja byłem za mało odważny, by ją o to prosić. Życie Haliny

skończyło się szybko, zachorowała i zaraz po ślubie zmarła. Gdybym wiedział, że jej życie skończy się tak szybko, może bym coś zrobił. Może bym nie dopuścił do jej ślubu z innym, a tak wyszło, jak wyszło. Zostałem sam i nigdy się nie ożeniłem. Teraz jestem tu...

Tadeusz Sawicki



Na gospodarstwie



*Dziadek Tadeusz
z Magdą Waszkowiak*



Pan Leszek Wilczyński

Człowiek z sercem na dłoni

Urodziłem się w Lublinie. Moja matka porzuciła mnie, gdy byłem jeszcze w szpitalu. Szybko zostałem adoptowany, trafiłem do dobrej rodziny (przybrany ojciec był oficerem, matka magistrem farmacji). Rodzice byli zajęci pracą, więc zajmowała się mną babcia lub niania. Miałem dobre dzieciństwo. Przybrani rodzice łożyli na naukę, wakacje spędzałem na wczasach (Krynica, Zakopane).

Skończyłem szkołę introligatorów galanteryjnych, więc zawód mam porządny, chociaż niedługo byłem introligatorem. Już jako młody człowiek wszedłem w konflikt z prawem, trafiłem do więzienia. Spędziłem w nim siedem lat – całkiem słusznie. Po wyjściu z więzienia krótko pracowałem w swoim zawodzie. Byłem introligatorem w archiwum i bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Wkrótce ożeniłem się, urodził mi się syn. Małżeństwo z Elżbietą trwało 10 lat. Nie powiem, dobra była z niej kobieta, ale ja do małżeństwa się nie nadawałem. Nie robiłem żadnych problemów, kiedy żona zażądała rozwodu. Zostawiłem jej też większość majątku. Pieniądze też się mnie nie trzymały.

Przez dziesięć lat byłem bezdomnym z wyboru, tzn. tułałem się po ludziach. Każdy mnie przyjmował, dach nad głową miałem. Jakiś czas pracowałem w Grójcu w zagłębiu jabłkowym. Później przebywałem w Warszawie.

Pewnego dnia upiłem się mocno, a kiedy się obudziłem, byłem już w Białymstoku i tu zostałem. Był to okres, kiedy bardzo dużo piłem, bo miałem jeszcze pieniądze. Trwało to około dwóch miesięcy, aż chwyciło

mnie bardzo silne zapalenie płuc i znalazłem się w szpitalu. Skończyło się martwicą płuc. Stamtąd trafiłem do Domu Pomocy Społecznej w Czerewkach.

Maluję od dzieciństwa. Najbardziej cenię sobie obrazy Chełmońskiego. Ludzie uważają mnie za artystę, a ja tylko sobie dorabiam. Lubię być niezależny. Przyjmuję życie takim, jakie jest. Może dlatego ludzie do mnie lgną? Potrafię dogadać się z każdym i wszędzie mam dobrych znajomych. Pamiętam taką sytuację, gdy już mieszkalem w Czerewkach i za zarobione pieniądze kupiłem używanego malucha, którego sprzedałem potem koledze. Zaraz po tym zostałem wezwany na komisariat, aby ustalić, kto jest faktycznym właścicielem auta, gdyż z dokumentów wynikało coś innego. Skończyło się na tym, że zaprzyjaźniłem się z policjantami i sprzedałem im kilka moich obrazów.

Potrafię owinać ludzi wokół palca, przekonam dyrektora, komendanta, właściciela sklepu – każdy mi pomoże. Pamiętam, jak kiedyś nad ranem znalazłem się w pobliżu sklepu monopolowego, przy którym rozładowywano towar. Miałem ochotę się napić, a że nie miałem pieniędzy, proponowałem kierownikowi swój złoty sygnet. Taki byłem przekonujący, że sygnetu nie wziął, a wódkę wypił razem ze mną. I tak to w moim życiu się dzieje. Może ludzie to do mnie szczęścia nie mają, ale ja do nich mam i nie narzekam.

Leszek Wilczyński



Pan Leszek z Agnieszka Piast

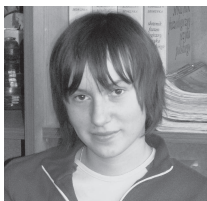
Autorzy o sobie



Jestem wolontariuszką od roku. Nazywam się Beata Boroń. Lubię pływać i jeździć konno. Panią Bronię Danilczuk poznałam w Czerewkach w czasie wrześniowej wizyty. Jej historia jest bardzo smutna. Chciałabym choć trochę sprawić jej radość książką, przy której pracowałam razem z moimi kolegami.



Nazywam się Marta Leoniuk i chodzę do drugiej klasy gimnazjum w Bielsku Podlaskim. Lubię pływać i słuchać muzyki. Praca w wolontariacie to dla mnie ciekawe doświadczenie, a opowieści zebrane wśród naszych babć i dziadków z Czerewek to najlepsza lekcja życia. Przybliżają nam obyczaje i codzienność zwykłych ludzi, którzy są dowodem na to, że nigdy nie należy się poddawać.



Kasia Linka. Uczę się w Gimnazjum nr 1 w Bielsku Podlaskim. W wolontariacie działałam drugi rok. Panią Stanisławę Zymkę poznałam podczas pierwszej wizyty w DPS w Czerewkach. To wspaniała osoba, ciepła i pogodna pomimo ciężkiej choroby. Jej piękne życie zrobiło na mnie ogromne wrażenie.



Jestem wolontariuszką z klubu „W jedną stronę”. Nazywam się Ewa Łukaszuk. Chodzę do Gimnazjum nr 1 w Bielsku Podlaskim. Uwielbiam pływać, czytać książki i, rzecz jasna, pomagać ludziom. W czasie pracy nad książką zaprzyjaźniłam się z Panią Gienią i Panią Jadwigą. Chciałabym wprowadzić w ich życie trochę słońeczka.



Paweł Sacharzewski. Jestem wolontariuszem od roku, ale wcześniej w klubie „W jedną stronę” pracował mój brat. Panią Olgę Kułaczenco poznałem w DPS w Czerewkach. Razem z Przemkiem przeprowadziłem z nią wywiad. Jestem szczęśliwy, że mogłem pracować przy książce dedykowanej mieszkańcom tego domu – naszym babciom i dziadkom.



Nazywam się Przemek Szulc. Jestem uczniem trzeciej klasy gimnazjum. Razem z Pawłem, kolegą z klubu wolontariuszy, poznałem w Czerewkach Panią Olgę Kułaczenko. Jej smutne, choć bardzo barwne życie urzekło mnie, więc postanowiłem zaangażować się w ten projekt.



Nazywam się Magda Waszkowiak. Jestem szczęśliwą i spełnioną szesnastolatką. Lubię działać w środowisku, czuć się potrzebna innym – i lubię, gdy dużo dzieje się wokół mnie. Staram się nie marnować czasu. Do Klubu Wolontariuszy „W jedną stronę” należę od trzech lat. Książkę napisałam dla dziadka Tadzia, aby miał świadomość tego, że ktoś o nim pamięta.



Mam 15 lat i mieszkam w Bielsku Podlaskim. Nazywam się Ewa Zduniuk. Od trzech lat należę do klubu wolontariuszy, który działa w Gimnazjum nr 1 im. Niepodległości Polski w Bielsku Podlaskim. Zainteresowały mnie historie mieszkańców DPS w Czerewkach, więc postanowiłam włączyć się w pracę nad tą książką. Bardzo poruszyły mnie przeżycia babci Eugenii, jej ciernista droga.



Katarzyna Zinkowska. Jestem uczennicą klasy trzeciej. Od trzech lat pracuję w szkolnym wolontariacie, oprócz tego interesuję się sportem i teatrem. Pana Pawła Charkiewicza poznałam dwa lata temu podczas odwiedzin w Czerewkach. W czasie niezapomnianych spotkań chętnie słuchałam opowieści o jego życiu. Ta książka jest prezentem ode mnie.



Elżbieta Uziałło, Agnieszka Piast. Jesteśmy nauczycielkami w Gimnazjum nr 1 im. Niepodległości Polski w Bielsku Podlaskim. Od czterech lat opiekujemy się młodzieżą zrzeszoną w Klubie Wolontariuszy „W jedną stronę”, który wspólnie założyłyśmy. Książka „Opowieści z Czerewkowego Belwederu” jest bardzo ważnym doświadczeniem w naszej pracy pedagogicznej oraz osobistym zapisem długich rozmów z Panem Pawłem Charkiewiczem, którego odwiedzamy od czterech lat i z którym jesteśmy bardzo żyte.



Spis treści

Ulica mojego dzieciństwa

Z panią Jadwigą Milewską rozmawiały Ewa Zduniuk i Ewa Łukaszuk 7

Czasami nawet na chleb nie starczało...

Z panią Bronisławą Danilczuk rozmawiały Beata Boroń i Elżbieta Parciak 13

Jak inżynier z Moskwy za żonę mnie wziął

Z panią Olgą Kułaczenko rozmawiali Przemysław Szulc i Paweł Sacharzewski . . . 19

Piękne życie miałam...

Z panią Stanisławą Zymką rozmawiały Marta Leoniuk i Katarzyna Linka 25

Ciernista droga

Z panią Eugenią Jabłonowską rozmawiały Ewa Łukaszuk i Ewa Zduniuk 31

Lubię strugać...

Z panem Pawłem Charkiewiczem rozmawiały
Agnieszka Piast, Elżbieta Uziałło i Katarzyna Zinkowska 35

Zwyczajne marzenia

Z panem Tadeuszem Sawickim rozmawiała Magdalena Waszkowiak 39

Człowiek z sercem na dłoni

Z panem Leszkiem Wilczyńskim rozmawiały Elżbieta Uziałło i Agnieszka Piast . . 43

Autorzy o sobie 46